Rafał A. ZIEMKIEWICZ

DZIENNIKARSTWO WCZORAJ, DZIŚ I JUTRO

Sądzę, że o dzisiejszym kryzysie dziennikarstwa nie można mówić w oderwaniu od ogarniającego cywilizację zachodnią kryzysu wartości. [...] Nasz wiek włożył wiele wysiłku w przekonanie wszystkich, że nie ma jednej, obiektywnej prawdy, że wszystko jest względne i w wyborze którejś z wielu równouprawnionych „prawd" należy kierować się pragmatyzmem. Przyjęcie takiego poglądu pozbawia dziennikarza zasadniczego punktu odniesienia i nieuchronnie czyni go sługą polityków lub grup interesu.

DWA ETHOSY

Wypada zacząć od stwierdzenia, że faktycznie nie istnieje jeden ethos dziennikarstwa; odmienne warunki polityczne i odmienna mentalność sprawiły bowiem, że dziennikarz amerykański był przez długie lata kimś nieco innym niż jego kolega po fachu z Europy. Nad odmiennością tą warto się zatrzymać, ujawnia ona bowiem blask i nędzę tej niebezpiecznej sztuki, jaką jest dobór i formułowanie informacji oraz opatrywanie ich komentarzem.

Dziennikarstwo europejskie ukształtowało się w ustrojach monarchicznych i arystokratycznych, wyrosło z ich afirmowania i z ich kontestacji; amerykańskie było nierozerwalnie związane z tamtejszą demokracją. Na europejskie pojmowanie dziennikarstwa trudny do przecenienia wpływ wywarli encyklopedyści i rewolucja francuska – efektem tego wpływu stała się powszechna zgoda, że dziennikarz jest powołany do prowadzenia walki o uczynienie świata lepszym (jakkolwiek to w danej epoce rozumiano), do zwalczania niesprawiedliwości oraz uświadamiania odbiorcom, o co powinni zabiegać i na co zwracać uwagę; wiązanie się z konkretnymi siłami politycznymi i społecznymi stanowiło w tej sytuacji rzecz oczywistą i akceptowaną. Dziennikarstwo amerykańskie poddane zostało dyktatowi odbiorców i zasadzie, że za państwo odpowiedzialni są obywatele, którzy głosując podejmują wspólnie decyzje słuszniejsze i bardziej sprawiedliwe od decyzji podejmowanych jednostkowo.

Europejskie przekonanie, że w społeczeństwie zawsze istnieją grupy szczególnie predestynowane do kierowania nim, czy to z racji urodzenia, czy też „arystokratyzmu ducha", Ameryka zastąpiła kultem wolności, rynku i daleko idącym utylitaryzmem. O ile więc w Europie można było zdobyć uznanie nie tylko odwagą i bezkompromisowością w walce z możnymi tego świata, ale

także zaciętością w zwalczaniu poglądów powszechnie uznawanych, o tyle za oceanem głównym kryterium pracy dziennikarza stała się jego umiejętność pozyskania czytelników dla pisma. Tutaj właśnie tkwi źródło odmiennego potraktowania dziennikarstwa na Starym i Nowym Kontynencie. Uogólniając, stwierdzić można, że dziennikarz europejski od początku uznawany był zawsze za kogoś, kto z racji posiadanej wiedzy upoważniony jest do wpływania na przeciętnego obywatela, urabiania jego opinii i pozyskiwania poparcia dla tego lub innego nurtu przemian; dziennikarz amerykański natomiast pełnił jedynie służbę wobec wyborcy, będącego instancją ostateczną i najważniejszą, służbę polegającą na dostarczaniu mu informacji niezbędnych do podjęcia decyzji, ale wykluczającą jakiekolwiek próby bezpośredniego wpływania na tę decyzję i narzucającą mu wymóg niezależności od kogokolwiek poza czytelnikiem.

DZIENNIKARZ JAKO MIT

Po obu stronach Atlantyku dziennikarze byli jedną z głównych grup społecznych, na których oparła się demokracja. Po obu stronach Atlantyku dopracowali się oni także własnej, odmiennej legendy, zaświadczonej w kulturze, zwłaszcza masowej.

Amerykańska kultura popularna uczyniła niezależnego dziennikarza jednym ze swoich herosów, obok prywatnego detektywa, samotnego rewolwerowca i innych specyficznie amerykańskich wcieleń archetypu błędnego rycerza. Trudno wręcz zliczyć książki, komiksy oraz filmy podejmujące na wszelkie sposoby fabularny stereotyp opowieści o niezależnym reporterze ujawniającym straszliwą prawdę. W wielkim uproszczeniu wersja kanoniczna tej opowieści wygląda następująco: dziennikarz relacjonujący jakieś z pozoru błahe wydarzenia zwraca uwagę na drobny, zlekceważony przez innych szczegół i zaniepokojony zaczyna drążyć sprawę. Spotyka się z brakiem zrozumienia ze strony przełożonych, piętrzą się przed nim trudności, jest nękany przez bandytów, straszony, kuszony perspektywą awansu oraz bogactwa, szantażowany itp. Nie ulega jednak i odkrywa jakąś ukrywaną przed wyborcami tajemnicę; najczęściej stanowi ją spisek Pentagonu, CIA oraz wielkich korporacji, jakaś nielegalna operacja zagrażająca konstytucyjnym wolnościom lub — to ostatnio — środowisku naturalnemu. W finale prawda o owych knowaniach zostaje ujawniona opinii publicznej, a udziałem jej odkrywcy staje się sława i idące za nią bogactwo. Charakterystyczne jest, że przytłaczająca większość fabuł, które można by zaliczyć do kategorii „politycznego dreszczowca", bazuje na lęku odbiorców, iż funkcjonariusze państwowi oraz politycy mogą stanowić zagrożenie dla demokracji i wolności obywatelskich. Jeszcze bardziej charakterystycznym zaś pozostaje fakt, że wszystkie takie fabuły kończą się w chwili, gdy wiadomość o spisku dociera do opinii publicznej. Amerykanom po prostu nigdy nie pomieściłoby

się w głowach, że skompromitowany polityk lub środowisko mogłoby nie zostać pod naciskiem opinii publicznej ukarane, a tym bardziej, że mogłoby utrzymać swe wpływy z woli wyborców.

Dziennikarz pojawia się w amerykańskiej kulturze także jako solidna instytucja, na której znajdujący się w kłopotach bohater, może się oprzeć i do której może mieć pełne zaufanie. Mam tu na myśli pewien typ dreszczowców, utworów obyczajowych i horrorów wykorzystujących scenerię „typowego amerykańskiego miasteczka" gdzieś na środkowym zachodzie, w którym sielskie i spokojne życie nagle zakłócone zostaje pojawieniem się śmiertelnego zagrożenia (morderca-psychopata, katastrofa elektrowni atomowej, powracające po wiekach monstrum z indiańskich wierzeń itp.). W utworach takich do galerii obowiązkowych postaci należy wydawca lub redaktor miejscowej gazety (ostatnio częściej jest to lokalna rozgłośnia). Miejscowy dziennikarz bądź broadcaster stanowi tu jeden z symboli amerykańskiej demokracji, jawi się zawsze jako gwarant wolności i przestrzegania prawa. (Co skądinąd odpowiada faktom – system amerykański prawdopodobnie nigdy nie byłby w stanie sprawnie funkcjonować bez wielości lokalnych, całkowicie niezależnych mediów).

Nieco trudniejsze jest zrekonstruowanie wizerunku dziennikarza w kulturze europejskiej, która właściwie już od początku wieku ulega stopniowo ciśnieniu amerykańskich wzorców, bądź to wypierana przez bezpośredni import atrakcyjniejszych dla odbiorcy dzieł zza oceanu, bądź też zmuszona do wzorowania się na nich. Można tu jednak wyróżnić kilka istotnych z naszego punktu widzenia tendencji. Tak więc głównie w europejskich produkcjach pojawia się, stworzona bodaj przez rozpoczęty w latach dwudziestych i bardzo popularny belgijski serial komiksowy o przygodach Tin-Tina, postać dziennikarza-naprawiacza świata. Podróżując po egzotycznych krajach, zwalcza on tamtejszych despotów, doradza tubylcom, inspiruje ich do walki o swoje prawa, oświeca – słowem: aktywnie walczy o demokrację i tzw. sprawiedliwość społeczną w zakątkach świata dotąd jeszcze tych dobrodziejstw pozbawionych. Natomiast w europejskiej wersji użytkowego mitu niezależnego dziennikarza walczącego o prawdę z reguły zanika akcentowana bardzo przez Amerykanów dziennikarska niezależność – bohater otwarcie korzysta z powiązań z lewicowymi partiami i organizacjami, a jego przeciwnikami są niemal wyłącznie przedstawiciele wolnorynkowego kapitalizmu (międzynarodowe koncerny, handlarze bronią; ciekawa rzecz – producenci tego typu dzieł wyraźnie oszczędzają jednak sfery bankowe) oraz zdecydowanego antykomunizmu (przeważnie z wojska i służb specjalnych), obowiązkowo utożsamianego z faszyzmem bądź neonazizmem. W porównaniu z produkcją amerykańską, gdzie dla wywołania u odbiorcy dreszczu trzeba pokazać konkretne zagrożenie, mogące dotknąć go osobiście, twórczość europejska w znacznie większym stopniu bazuje na odwołaniach do politycznych etykiet: „szwarccharakter" nie musi być ukazany przy dokonywaniu jakiejś konkretnej podłości, wystarczy tylko zaznaczyć, iż jest on np. nazistą.

Upolitycznienie fabuł szczególnie widoczne jest w produkcjach francuskich, częstokroć przekraczających granicę politycznej agitacji; nieco mniejsze w Belgii i Francji, stosunkowo znikome w Anglii i Niemczech.

Kolejna sprawa, która wydaje się charakterystyczna: w istniejącym równolegle do wyżej opisanego nurcie kultury popularnej, nurcie gloryfikującym walkę z komunizmem lub sterowanym przez Kreml terroryzmem, dziennikarz albo nie występuje, albo wręcz jest postacią negatywną. Analogiczne zjawisko – przedstawiania dziennikarza w negatywnym świetle – wystąpiło na przełomie ostatnich dekad także w Ameryce. Dotyczy to bardzo wówczas eksponowanej formuły filmu o wyprawie po amerykańskich jeńców, nadal przetrzymywanych w Wietnamie (pierwszą taką wyprawę odbył głośny Rambo, grany przez Sylwestra Stallone'a). Pracownicy mediów w tych filmach to obowiązkowo głupcy bądź zdrajcy, świadomie lub nieświadomie wysługujący się komunistom i ich agenturom.

Tyle uwag o tym, jak media i ludzie z nimi związani odbijają się w najlepszym, śmiem twierdzić, zwierciadle ducha XX wieku – w kulturze masowej. Jak zazwyczaj bywa, w micie więcej jest oczekiwań i wymagań niż ekstrapolacji faktycznego stanu – a przecież tak jak prawdziwi prywatni detektywi niewiele mają wspólnego z Phillipem Marlowem, tak i praktyka mediów odbiega często bardzo daleko od stereotypów kultury masowej. Co możemy z kolei powiedzieć o tej praktyce?

NIWELACJA RÓŻNICY ETHOSÓW
NA PRZYKŁAD WOJNA W WIETNAMIE

W wypowiedziach na temat zadań dziennikarza i jego zawodowej etyki do dziś wyraźnie zaznacza się opisana na początku odmienność. Amerykańskie instruktaże i podręczniki dla adeptów zawodu kładą nacisk na zachowanie pełnej bezstronności i powstrzymywanie się od prezentacji własnych sądów. Reporter relacjonujący zdarzenie ma za zadanie w sposób skondensowany przedstawić najważniejsze fakty. Komentator je omawiający, winien możliwie jasno przedstawić racje stron, tło zajścia, możliwe skutki, ewentualnie umieścić wydarzenie w szerszym kontekście. Jeden i drugi pracują po to, aby dostarczyć odbiorcy materiału niezbędnego, by mógł on samodzielnie wyrobić sobie zdanie. Jakiekolwiek wpływanie na decyzję jest oficjalnie niedopuszczalne.

W krajach europejskich natomiast przyznaje się mediom rolę „opiniotwórczą", czyli prawo do urabiania opinii publicznej – zamiast czy też obok obowiązku jej informowania. Etyka zawodowa rozumiana jest tu jedynie jako wymóg, aby owo urabianie opinii publicznej odbywało się w sposób uczciwy, a więc metodą rzeczowej perswazji, bez przeinaczania faktów i manipulowania emocjami.

Europejskie, oświeceniowe pojmowanie pracy dziennikarza jako człowieka urabiającego opinię publiczną stało się punktem wyjścia dla dwudziestowiecznych lewicowych totalitaryzmów, które otwarcie ogłosiły pracowników gazet i radia bojownikami „frontu ideologicznego". Zarówno dla Goebbelsa, jak i dla Lenina mass media były wyłącznie narzędziem propagandy, ważnym instrumentem w walce o zdobycie i utrzymanie władzy, oraz narzędziem pozwalającym sterować nastrojami społeczeństwa. O dziennikarstwie w sensie zachodnim nie mogło więc tutaj być mowy, pracownicy mediów stali się po prostu funkcjonariuszami aparatu władzy. Musimy jednak pamiętać i o tym modelu funkcjonowania mediów, gdyż pozostawił w krajach wychodzących dziś z totalitaryzmu niezatarte ślady.

Z różnicy w pojmowaniu zadań dziennikarza wynika też różnica w kryteriach jego oceny. W Ameryce kryterium takim było wyłącznie dotarcie do prawdy i przedstawienie jej w sposób możliwie wierny i atrakcyjny. W Europie obok kryterium prawdy pojawiło się także kryterium słuszności i społecznego pożytku z działań mediów. Tak więc dziennikarz europejski może zostać zganiony za wydobycie na światło dzienne faktów, które zdaniem oceniających mogłyby mieć niekorzystny wpływ na społeczeństwo (np. prowadziłyby do rehabilitacji nazizmu w oczach opinii publicznej); jego kolega zza oceanu nie musi się o to martwić, jeżeli coś się zdarzyło, to po prostu się zdarzyło i społeczeństwo winno być o tym poinformowane. Co do funkcjonariuszy propagandy w krajach totalitarnych, tutaj jedynym kryterium było wierne realizowanie zaleceń kierownictwa i skuteczność w kształtowaniu nastrojów.

Powyższe stwierdzenia dotyczą – przypomnę – teorii, wymagań stawianych pracownikom mediów oficjalnie. Jakkolwiek wymagania te nie zostały dotąd zanegowane, to praktyka przyniosła w ostatnich dziesięcioleciach wyraźne zmiany, polegające na zwycięstwie za oceanem modelu „europejskiego". Proces ten uległ szczególnemu nasileniu w okresie wojny wietnamskiej, pod której koniec większość wpływowych gazet i rozgłośni amerykańskich de facto prowadziła wyraźną kampanię na rzecz wycofania się Stanów Zjednoczonych z wojny.

Po raz pierwszy chyba w historii amerykańskich mediów doszło do przypadków jawnej manipulacji, dokonywanej na masową skalę; przykładem najjaskrawszym i zarazem momentem przełomowym był sposób zrelacjonowania przez nie ofensywy „Tet", która z punktu widzenia militarnego była całkowitą klęską Wietnamczyków i zakończyła się ostatecznym rozgromieniem partyzanckich oddziałów Vietcongu (dalsze działania wojenne prowadzone były już przez regularną armię północnowietnamską). Natomiast opinia publiczna niemal jednogłośnie uznała „Tet" za wielką przegraną Ameryki i kompromitację jej sił zbrojnych; spowodowało to przełom w nastrojach wyborców, dotąd w większości popierających zaangażowanie wojskowe w Wietnamie. Niewątpliwie to bezprecedensowe w dziejach wojen wydarzenie było efektem przyjętej milcząco

przez korespondentów wojennych zasady przemilczania niektórych wydarzeń. Relacjonowano wyłącznie klęski i to, co stawiało w złym świetle Wietnam Południowy oraz siły interwencyjne. Starannie ukrywano natomiast porażki komunistów, nie informowano o odkrywanych masowych grobach rozstrzeliwanych przez Vietcong wieśniaków ani o okrucieństwach, jakich dopuszczali się komuniści wobec jeńców.

Krytyce zachowania mediów w czasie wojny wietnamskiej poświęcono bardzo wiele prac i wystąpień. Jej przeciwnicy koncentrują się na podkreślaniu, że ton relacji i komentarzy pozostawał z reguły w zgodzie z nastrojami ogółu odbiorców oraz że korespondenci w zasadzie nie mijali się z prawdą. Trudno przyjąć taką argumentację: pomijając wszystko, prawda nie powinna być naginana do społecznych oczekiwań, główny zaś zarzut stawiany antywojennie nastawionym dziennikarzom to nie zmyślanie, ale wypaczanie proporcji. Skądinąd jest to zarzut rzeczywiście trudny do udowodnienia – nie ma bowiem ustalonych raz na zawsze kryteriów oddzielania wiadomości ważnych od nieważnych. Obrońcy mediów podkreślają na przykład, iż wypaczanie obrazu wojny w wielkiej mierze brało się z rynkowego wymogu, zgodnie z którym wiadomości mogą być dobre lub złe, ale zawsze muszą być ciekawe. Fakt, iż Goliat pobił Dawida, nie byłby po prostu żadnym „newsem" i jedynie odwrotne wydarzenia zasługiwałyby na miejsce w dziennikach.

Nie tłumaczy to jednak wszystkiego. Nie tłumaczy to przede wszystkim swoistego amoku, w jaki przy wielkim współudziale mediów popadały elity amerykańskiego społeczeństwa u schyłku zmagań w Wietnamie, amoku, który wyrażał się aprioryczną niechęcią do własnego kraju, do wszelkich tradycyjnych wartości, ośmieszaniem wszelkich tradycji, wykpiwaniem każdego, kto chciałby się do nich odwoływać – i zarazem bezgranicznym, całkowicie ślepym kultem wszystkiego, co w wartości te godziło, z komunizmem na czele. Trudno inaczej niż zbiorowym szaleństwem określić takie fakty, jak na przykład ten, że hołdownicza wizyta złożona przez Jane Fondę w Północnym Wietnamie, w czasie której wzywała ona m.in. do torturowania amerykańskich jeńców wojennych („Traktujcie te faszystowskie świnie tak, jak na to zasługują!"), nie tylko nie zdyskredytowała aktorki w jej ojczyźnie, ale przeciwnie – przyniosła jej ogromną popularność, głosy oburzenia zaś były przez media bezlitośnie wyszydzane i zakrzykiwane.

Z przykrością wypada stwierdzić, że w roku 1993, w cztery lata po – werbalnym przynajmniej – odzyskaniu niepodległości, łatwiej jest Polakom owo szaleństwo zrozumieć niż kiedykolwiek wcześniej.

MECHANIZMY KRYZYSU

Stało się naszym udziałem trudne do opisania i jeszcze trudniejsze do wyjaśnienia zjawisko, które położyło się cieniem na cywilizacji białego człowieka: odwrócenie się elit od wartości, niespotykana zaciekłość z ich strony w niszczeniu wszystkich podstaw kultury i cywilizacji europejskiej oraz całkowita kapitulacja przed wszystkim, co tej cywilizacji wrogie i co płynie z zewnątrz. Wiernopoddańczość intelektualistów wobec komunizmu przerodziła się po jego upadku w szaleństwa „politycznej poprawności", dekonstruktywizmu i feminizmu. Fala „rewolucji seksualnej" lat sześćdziesiątych rozpoczęła stopniową erozję moralności opartej na pojęciach takich, jak odpowiedzialność i powinność względem innych, doprowadzając do stopniowego zastąpienia jej pochwałą hedonizmu i utylitaryzmu, a w rezultacie do stworzenia permisywistycznej „cywilizacji śmierci".

Przytłaczająca większość dziennikarzy znalazła się na pierwszej linii walki z tradycją i moralnością. W parze z tym zaangażowaniem idzie stopniowy upadek zawodowej etyki. Bez względu na to, w którym z zachodnich krajów zechcemy dziś przyjrzeć się uważniej pracy mediów, zetkniemy się z tymi samymi zachowaniami, do których przyzwyczaiła nas ostatnimi laty „Gazeta Wyborcza". Sposób traktowania tematyki AIDS i utożsamianie zachęty do rozwiązłości oraz propagowania pornografii z godną szacunku profilaktyką przeciwko straszliwej chorobie nie różnią niczym tejże gazety od „Le Monde" czy „New York Times". Metody, jakimi przez lata amerykańskie media niszczyły Dona Quale'a czy Pata Buchanana, nie różnią się niczym od tych, jakie zastosowano w Polsce do obrzydzania wyborcom S. Niesiołowskiego czy J. Olszewskiego. W takim samym, niechętnym i złośliwym tonie pisze się tu i tam o Kościele. Przyjmowana milcząco zasada traktowania jednych polityków zawsze życzliwie, a innych zawsze z niechęcią daje się zaobserwować nie tylko w Telewizji Polskiej, ale i w CNN.

Nie miejsce tu, żeby szczegółowo analizować technologię manipulacji – to temat wart osobnego opracowania. Poprzestańmy na stwierdzeniu wyraźnie złej woli ze strony dużej części mediów oraz na stwierdzeniu, iż nie jest to zjawisko specyficznie polskie. Choć, naturalnie, trzeba pamiętać, iż media zachodnie pozostają jednak pod pewną społeczną presją i nigdy nie mogłyby sobie pozwolić na tak jawne uprawianie propagandy, jak ma to miejsce w naszym kraju.

W wyborach prezydenckich 1990 roku około 90 procent dziennikarzy i tytułów prowadziło na różne sposoby mniej lub bardziej zawoalowaną i mniej lub bardziej inteligentną agitację na rzecz kandydata, który pozyskał niecałe 20 procent głosów wyborców. Podobna sytuacja powtórzyła się przed wyborami parlamentarnymi. Jest to jeden z wielu dowodów na to, iż środowisko dziennikarskie w Polsce nie odzwierciedla wcale poglądów i oczekiwań społeczeństwa;

znaczna część jego przedstawicieli czuje się wręcz z ogółem Polaków skonfliktowana. W istocie nie poczuwają się oni w żadnym wypadku do obowiązku służenia społeczeństwu. W swoim przekonaniu są wyrazicielami woli i poglądów pewnej jego części, uznanej za lepszą i mądrzejszą od pozostałych, a co za tym idzie – predestynowaną do narzucania swej woli wszystkim, także zwolennikom zupełnie innych opcji. Media stały się jednym z głównych narzędzi służących do realizacji owego celu. Właściwie nikt nawet nie zadaje sobie trudu, by ten fakt ukrywać. Jeden z szefów „Gazety Wyborczej" określił swoją redakcję mianem „grupy etosowej", niedwuznacznie sugerując, że nie ma w niej miejsca dla ludzi nie zgadzających się w poglądach z resztą zespołu. Nie głoszono może otwarcie, że rekrutowani do pracy kandydaci muszą do założonego „ethosu" pasować, ale też i nie czyniono z tego kryterium specjalnej tajemnicy – co potwierdzić mogą dziennikarze, którzy przemknęli przez „Wyborczą" w okresie jej tworzenia (powstawała wszak jako gazeta „Solidarności" i całej opozycji) i szybko zostali z niej różnymi metodami usunięci. Podobnie wyglądała rekrutacja do związanego z „Gazetą Wyborczą" „Radia Zet" (pierwotnie zwanego „Radio-gazetą"), którego zespół utworzono na bazie biura prasowego OKP.

W obu tych wypadkach (a mówimy wszak o mediach, które dzięki odpowiednio szybkiemu startowi zdobyły sobie bardzo znaczące pozycje) zasadą było również rekrutowanie pracowników przede wszystkim spośród ludzi nie związanych wcześniej z mediami, spośród młodych, o innym niż dziennikarskie wykształceniu. Uzasadniano to koniecznością znalezienia ludzi nie skażonych propagandowymi nawykami. Nowo przyjęci dziennikarze byli następnie przyuczani do zawodu w codziennej pracy. Wiązało się to także ze swoistym „praniem mózgów" i kształtowaniem u młodych „właściwej" postawy ideowej, zgodnej z założeniami „grupy ethosowej". Wielka część tej operacji dokonywana jest w mediach poprzez kontakty towarzyskie. Zachowania konformistyczne nie są wśród dziennikarzy rzadsze niż w innych środowiskach, a wyłamanie się z grupy, w której – z racji zajęć zawodowych – przebywa się właściwie 24 godziny na dobę, wymaga większego niż przeciętny hartu ducha. Zwłaszcza jeśli miałoby to oznaczać wyrażenie przez młodego adepta poglądów odmiennych od głoszonych przez osoby otoczone w środowisku szacunkiem, nierzadko także legendą podziemnej „Solidarności"; poglądów uchodzących zresztą w towarzystwie za śmieszne czy „oszołomskie". Wejście do zawodu młodych poddało ich w wielkim stopniu ciśnieniom tak doskonale opisanym w *Konformizmie* Aaronsona. Na podstawie własnej znajomości środowiska mogę stwierdzić, że zdecydowana większość nie zdołała się oprzeć temu ciśnieniu.

Warto tu także zwrócić uwagę, że – wbrew głoszonemu zamiarowi odcięcia się od starych, skompromitowanych wzorców – praktyka dziennikarska owych młodych ludzi właściwie nie różni się od tego, co robią dziś starzy wyjadacze z „Trybuny Ludu" i byłego DTV. Nie ma także w większości

zasadniczej różnicy pomiędzy zachowaniami dziennikarzy o przeszłości reżimowej i tych, którzy do zawodu doszli poprzez prasę podziemną.

Wbrew pozorom nie powinno to dziwić. Zasady pracy wydawnictw niezależnych różniły się od założeń oficjalnej propagandy przede wszystkim zmianą znaków wartości. Prasa podziemna stworzona została, z wielkim poświęceniem, nakładem sił i ryzykiem, po to, aby walczyć z totalitaryzmem. Chodziło w niej o demaskowanie komunistów, odkłamywanie ich propagandy czy, wulgaryzując sprawę, „dowalanie" reżimowi. Oczywiście istniała przepaść moralna pomiędzy tymi, którzy dla pieniędzy i uprzywilejowanej pozycji wysługiwali się komunistom, a tymi, którzy z nimi walczyli. Niemniej działalność jednych i drugich w jednakowym stopniu nie miała wiele wspólnego z dziennikarstwem. Jedni służyli władzy – drudzy sprawie. Jedni i drudzy wyżywali się równie często w destrukcji, w propagandowych nagonkach na opozycję albo w ukazywaniu „prawdziwego oblicza" władzy i jej ludzi. Po nieoczekiwanym zbrataniu się obu tych środowisk, którego symbolem stały się bruderszafty Michnika z Jaruzelskim, Urbanem czy Kwaśniewskim, dziennikarze „starzy" i „nowi" odkryli łatwo pewną wspólnotę. W jednym ze swoich felietonów starałem się uzasadnić, że dziennikarzy „starych" i „nowych" połączyło przekonanie, iż ich zadaniem jest służyć swoim politycznym mocodawcom i zwalczać ich wrogów. By rzecz mogła się udać, trzeba było jeszcze znaleźć jakiegoś wspólnego wroga. Znaleziono go w Kościele oraz w środowiskach niepodległościowych.

Tu oto znaleźć można wyjaśnienie, dlaczego odwołująca się głośno do swych solidarnościowych korzeni „Gazeta Wyborcza" tak bliźniaczo przypomina dzienniki redagowane od kilkudziesięciu lat przez te same zespoły i dlaczego jej komentarze niczym, poza elegancją stylistyki, nie różnią się od tych, które zamieszcza Urbanowe „NIE".

Nakłada się na to inna, specyficzna choroba polskiej żurnalistyki, a mianowicie brak ścisłego rozgraniczenia pomiędzy pracą w mediach a czynnym uprawianiem polityki. Jakkolwiek zrozumiałą przyczyną obecnego stanu rzeczy jest po prostu brak zawodowych polityków, których zwłaszcza po stronie opozycji zastąpić musieli między innymi ludzie wywodzący się ze środowiska dziennikarskiego, to jednak sytuacja taka przynosi wiele negatywnych skutków. Jednym z nich jest fakt, iż pracownicy mediów czują się już nie tylko reprezentantami określonych środowisk politycznych, ale wręcz uczestnikami bieżącej gry politycznej.

O niedomaganiach polskiego dziennikarstwa napisano już sporo, odnotowując wyraźne angażowanie się mediów w rozgrywki personalne, organizowanie nagonek na niektórych polityków i, przeciwnie, nieprzyzwoite wręcz komplementowanie innych, organizowanie obrazu rzeczywistości tak, aby pasowała ona do założonej tendencji itd. Tłumaczenie najczęściej spotykane – fatalna polityka rządu Mazowieckiego, dzięki któremu wszystkie media zostały opanowane niepodzielnie przez sojusz komunistów i postsolidarnościowej lewicy –

nie wyczerpuje, jak sądzę, problemu. Jak starałem się wykazać, mamy tu do czynienia ze zjawiskiem ogarniającym cały świat. Jego korzenie są głębsze.

ISTOTA I PODSTAWY KRYZYSU

Sądzę, że o dzisiejszym kryzysie dziennikarstwa – czy wręcz o jego upadku – nie można mówić w oderwaniu od ogarniającego cywilizację zachodnią kryzysu wartości. Zaryzykowałbym twierdzenie, że głównym przejawem załamania się zawodowej etyki i ethosu dziennikarstwa jest odwrócenie się przez media od zasady bezwzględnego poszukiwania prawdy. Poszukiwanie prawdy, przekazanie jej społeczeństwu bez względu na wszelkie konsekwencje, jakie mogą za to grozić – powinno zawsze stanowić podstawowe zadanie dziennikarza. Jednak nasz wiek włożył wiele wysiłku w przekonanie wszystkich, że nie ma jednej, obiektywnej prawdy, że wszystko jest względne i w wyborze którejś z wielu równouprwnionych „prawd" należy kierować się pragmatyzmem. Przyjęcie takiego poglądu pozbawia dziennikarza zasadniczego punktu odniesienia i nieuchronnie czyni go sługą polityków lub grup interesu, a więc – kimś na kształt pracowników „frontu ideologicznego" w ustrojach totalitarnych.

Zrelatywizowanie pojęcia prawdy pozbawia dziennikarza kontroli ze strony jego naturalnej „instancji nadrzędnej" – odbiorców. Współczesne społeczeństwa zatracają moralny instynkt. Przykładem tego jest fakt, że np. w niektórych krajach politycy zamieszani w afery mogą nadal sprawować urzędy, gdyż wywierana na nich presja społeczna jest już zbyt słaba, by zmusić ich do ustąpienia. Za przykład służą tu Francja i Włochy, bo w Niemczech lub w USA nadal jeszcze najdrobniejsze podejrzenie wystarczy do złamania politycznej kariery. W oczach większości obywateli niektórych krajów branie łapówek lub wykorzystywanie stanowiska do osobistych celów przestaje już być rzeczą naganną, staje się normą i wzbudza raczej obojętność niż potępienie. Podobne zjawiska obserwujemy z wielkim nasileniem w Polsce; u nas tłumaczy się je skutkami komunizmu.

Ta diagnoza jest słuszna i stosowna również do krajów zachodnich. Znaczące, że degrengolada najdalej posunęła się właśnie we Francji i we Włoszech, państwach, które najdalej zaszły w dziele budowy socjalistycznego „państwa opiekuńczego". Uważam, że zatrata instynktu moralnego jest nieuchronnym skutkiem tego systemu, którego zasadą jest ubezwłasnowolnienie człowieka, dokonywane w imię ochrony go przed złymi skutkami jego własnych poczynań. Państwo opiekuńcze sprowadza swych obywateli do roli hodowlanej trzody, trzymanej w kojcach, z głowami powtykanymi pomiędzy stalowe pręty – gdyż w przeciwnym razie zrobiłaby sobie krzywdę. Człowiek pozbawiony odpowiedzialności za swe czyny, wychowany w przeświadczeniu, że nic złego mu nie grozi, że cokolwiek zrobi, ktoś ma obowiązek się nim

zająć, przestaje kontrolować swoje instynkty i prędzej czy później przystępuje do ataku na wszelkie krępujące go jeszcze ograniczenia. Między innymi – na wymagania moralności.

Państwo socjalistyczne pozbawia człowieka także własności, nie pozwala mu władać owocami jego pracy. W ten sposób dodatkowo przyzwyczaja do nieodpowiedzialności. I wreszcie – rozbija struktury rodziny, więzy pomiędzy małżonkami, pomiędzy rodzicami a dziećmi, powoduje stopniową atomizację społeczeństwa.

Wszystkie te tendencje, które w ostatnim stuleciu zwyciężyły nad tradycyjnym modelem organizacji społeczeństwa, czynią ludzi po prostu niezdolnymi ani do kontrolowania władzy, ani do kontrolowania mediów. Produkt państwa opiekuńczego – człowiek wykorzeniony, nieodpowiedzialny, wyobcowany ze wspólnoty – nie tylko przestaje odróżniać prawdę od fałszu, ale wręcz przestaje tej pierwszej potrzebować. Górę bierze w nim inna potrzeba – potrzeba „ucieczki od wolności", prostego wyjaśnienia świata, takiego, które pozwoli mu czuć się przedstawicielem „słusznej" strony. Człowiek wykorzeniony jest bowiem spragniony bycia w grupie, spragniony roztopienia się w niej i przerzucenia ciężaru swej wolności, ciężaru samodzielnego myślenia – na innych.

To oczekiwanie staje się zasadniczą przyczyną postępującej degeneracji światowego dziennikarstwa. Dziennikarze z ludzi, którzy mieli informować wolnych obywateli (ethos amerykański) lub uświadamiać ich, że nie cieszą się należną im wolnością i muszą o nią walczyć (ethos europejski) – przemieniają się w ludzi, którzy myślą za innych i swoim odbiorcom podają po prostu gotowe wnioski do zapamiętania. Publicysta prasowy, komentator radia czy telewizji, reporter przestają być sługami. Stają się panami milionów sumień, panami myśli całych społeczeństw, na rzecz których miliony obywateli zrzekają się przysługującej im, a nazbyt ciężkiej do udźwignięcia wolności. A zarazem sami również są niewolnikami – niewolnikami instytucji, w których pracują, a które nie tolerują „odstawania" od „grup ethosowych". Trzeba bowiem pamiętać, że naturalną tendencją rozwojową światowych mediów jest ich postępująca komasacja i unifikacja. Coraz mniejsza liczba rozgłośni i tytułów obejmuje coraz większy obszar wpływów. Na Zachodzie od lat już trwa proces wchłaniania mniejszych, niezależnych gazet i rozgłośni przez gigantyczne korporacje. W USA miejsce wspomnianej wcześniej wielości lokalnych gazet zaczyna zajmować kilka ogólnokrajowych dzienników z lokalnymi wkładkami (podobnie jak u nas ma to miejsce w wypadku „Gazety Wyborczej"). Telewizja satelitarna umożliwia dalszą, już światową ekspansję i dalsze komasowanie propagandowej potęgi w kilku łatwych do kontrolowania koncernach. Każdy z nich obraca tak wielkimi pieniędzmi, że pojawienie się jakiejkolwiek zagrażającej im konkurencji wydaje się niemożliwe; zostanie ona natychmiast wykupiona. Jednocześnie owe ogromne propagandowe kombinaty po prostu uniemożli-

wiają zatrudnianym w nich dziennikarzom jakąkolwiek samodzielność, czyniąc z nich odindywidualizowanych, karnych funkcjonariuszy.

Smutne to, jeśli pomyśleć, że oto drogą ewolucji w krajach demokratycznych realizuje się wizja jakby żywcem zaczerpnięta z rojeń Lenina lub Stalina.

DZIENNIKARSTWO JUTRO

Do jakiego stopnia zaawansowany w tej chwili jest opisany powyżej proces? Czy jest on nieuchronny? Na pierwsze pytanie można odpowiedzieć, że postępy komasacji i ujednolicenia światowych mediów możemy obserwować niemal z miesiąca na miesiąc. Sprawa różnie wygląda w różnych krajach. W jednych przejęcie przez telewizję, radio i prasę totalnej władzy nad umysłami wydaje się bliższe, w innych – bardziej odległe. Ale ogólna tendencja zauważalna jest właściwie na całym świecie.

Sądzę natomiast, że drugie pytanie jest pytaniem o nieuchronność socjalizmu, relatywizmu czy „cywilizacji śmierci". Jeśli – jak wyobrażają to sobie „postępowcy" – zmiany wprowadzone w XX wieku są nieuchronne i nieodwracalne, jeśli na całym świecie zapanować musi model państwa permisywnego, socjalnego i ustrój „liberalnej demokracji" (biorę to często stosowane określenie w cudzysłów, gdyż w istocie ustrój ten nie ma nic wspólnego ani z demokracją, ani z autentycznym liberalizmem), to opisane tu zmiany wiążą się z nim nieuchronnie. Sądzę jednak, że rzecznicy „postępu" mylą się, głosząc bezalternatywność takiego modelu cywilizacji. Wiele wskazuje na to, że już teraz zaczyna się on załamywać pod własnym ciężarem, że nieuchronny będzie raczej powrót do tradycji i modelu społecznego, który wielkiej części świata zapewnił kiedyś bogactwo i dobrobyt. A wówczas zmieni się ponownie rola pełniona przez media i przez ich pracowników.